

Analityczna konfrontacja z dyktaturą. Próby zrozumienia Białorusi

Kamil Kłysiński

Analiza sytuacji na Białorusi stanowi spore wyzwanie – to banalne stwierdzenie wbrew pozorom zawiera w sobie wiele wątków, dylematów i nierozstrzygniętych kwestii, z którymi borykał się każdy analityk do spraw białoruskich, w tym autor niniejszego tekstu, od niemal dwóch dekad zajmujący się tym państwem zarówno w Ośrodku Studiów Wschodnich, jak i w MSZ. Pozorna bliskość kulturowa w ramach „słowiańskiej rodziny” i współdzielenie z Polską przynajmniej części dziedzictwa historycznego może sprawiać, że kraj ten wyda się łatwym obszarem badawczym, i wzbudzać pokusę formułowania pochopnych sądów – lecz okazuje się to zwodniczą pułapką.

Czym tak naprawdę jest ten stosunkowo niewielki kraj, geograficznie leżący w centrum Europy, a patrząc z politycznego punktu widzenia – na jej peryferiach? Jaki jest jego realny potencjał dziś oraz jak zmieni się w przyszłości? Co myślą jego elity? Jak wyglądają procesy decyzyjne w otoczeniu Alaksandra Łukaszenki i kto mu doradza? Jaki jest stan społeczeństwa, jak prezentuje się hierarchia jego wartości? Na czym polega fenomen relatywnie stabilnej, choć nierynkowej gospodarki? Czy Republika Białorusi (RB) to już rosyjski protektorat czy jeszcze państwo niepodległe?

To tylko wybrane pytania tkwiące w każdej osobie badającej ten kraj przez ostatnie lata. Nie zamierzam twierdzić, że wiem wszystko i nie muszę ich sobie zadawać. Ten tekst dotyczy prób zrozumienia na różne sposoby białoruskiej specyfiki – co w tym przeszkadza, co pomaga oraz w jakim stopniu się to udaje.

Analityczne początki i warsztat pracy

Gdy w 2007 r. jako niespełna 26-latek po raz pierwszy przekroczyłem drzwi OSW, uważałem, że coś już o Białorusi wiem – miałem tam znajomych, spędziłem w jej stolicy wiele miesięcy na stypendium w ramach wymiany uniwersyteckiej, wielokrotnie podróżowałem tam prywatnie, obserwowałem wybory w 2004 r., słowem: byłem przekonany, że znam ją nie tylko z gazet i książek.

W pierwszych miesiącach pracy w trakcie jednego z publicznych wydarzeń na temat Białorusi pozwoliłem sobie na przedstawienie autorskiej „maksymy”, iż jest to państwo „wielokrotnego dna” – w jego przypadku często dochodzimy do czegoś, co wydaje się nam sednem sprawy, ale po pewnym czasie przebijamy się dalej, do kolejnej, jeszcze głębszej prawdy. Aby zobrazować tę prawidłowość, poddałem krytyce obecną w polskich mediach tezę, jakoby wszyscy tamtejsi emeryci głosowali na Łukaszenkę. Następne lata pokazały mniej lub bardziej boleśnie, że co do zasady miałem rację – Białoruś nie jest krainą oczywistych i prostych schematów – lecz niesiony typową dla młodego wieku pychą, błędnie zakładałem, że doszedłem już do tego „właściwego dna”.

Praca wyglądała wtedy stosunkowo prosto. Operowało się na źródłach otwartych, czyli przede wszystkim internecie. Do 2008 r. czytaliśmy też gazety drukowane, kupowane w Mińsku przez „zaufanego” człowieka, a następnie dostarczane do Ośrodka w przesyłce konduktorskiej.

Ważne uzupełnienie obowiązków w biurze stanowiły konferencje w kraju i za granicą oraz dłuższe wyjazdy studyjne na Białoruś, organizowane przynajmniej raz w roku. Podróże te niosły ze sobą pewne ryzyko, jako że tamtejsze służby niekiedy demonstracyjnie okazywały swoje „zainteresowanie” polskimi specjalistami do spraw białoruskich w miejscach publicznych. Kiedyś podczas przekraczania granicy w Brześciu skonfiskowano mi otrzymane od rozmówców materiały analityczne i poddano mnie przesłuchaniu. Poczynania te miały na celu zastraszenie lub przynajmniej zniechęcenie eksperta z Polski, sprawienie, by nie był zbyt „ciekawski” i nie spotykał się z niewłaściwymi ludźmi w niewłaściwych – czyli na przykład zbyt opozycyjnych – miejscach. A najlepiej gdyby siedział w ojczyźnie i nie siał fermentu we „wzorcowo uporządkowanej” Białorusi.

Każdy z pobytów tam okazywał się jednak niezwykle cenny, gdyż dawał możliwość nie tylko prowadzenia na miejscu dyskusji z ekspertami, dziennikarzami i działaczami trzeciego sektora, lecz także bezpośredniego „dotknięcia” kraju i jego specyfiki oraz poznania poglądów zwykłych obywateli (choćby poprzez przypadkowe rozmowy z przysłowiowym dobrze znającym życie tak-sówkarzem). Od samego początku pracy w OSW, kierowany poradami bardziej doświadczonych kolegów i intuicją, czułem, że dopóki się da, trzeba tam jeździć, bo tylko w ten sposób znajdzie się blisko tematu. Innymi słowy podróże te były – i wierzę, że nadal są – skutecznym zabezpieczeniem przed nadmiernym

teoretyzowaniem, czyli śmiertelnie niebezpiecznym dla zawodu upajaniem się własną wizją „niby-rzeczywistości” w obszarze badawczym.

Paradygmat lawirowania, czyli Łukaszenka przewidywalny

Okno możliwości wizyt na Białorusi poszerzyło się znacząco jesienią 2008 r., gdy Łukaszenka, zaniepokojony rosyjską interwencją w Gruzji, zdecydował się zwolnić wszystkich więźniów politycznych i nawiązał dialog z Zachodem. W kraju pojawili się pierwsi zachodni goście wysokiego szczebla, a w maju 2009 r. Mińsk zgłosił akces do Partnerstwa Wschodniego.

Przełożyło się to na sytuację badacza z Polski: natarczywość służb podczas wyjazdów wyraźnie spadła, a co jeszcze ważniejsze – pojawiła się opcja spotkań z ekspertami okołoreżimowymi i urzędnikami. Dało mi to szansę lepiej zrozumieć te kręgi, do tej pory znane głównie z oficjalnych wypowiedzi medialnych, opracowań i relacji krytyków z opozycji. Można było wyjść – jak to się teraz ujmuje – ze swojej bańki informacyjnej, co jest zawsze cenne dla analityka.

Pierwsze rozmowy z tym będącym zapleczem reżimu środowiskiem pokazały, jak bardzo różnymi się pod względem światopoglądu, ale i warsztatu pracy. Gdy w trakcie spotkania w poważnym, afiliowanym przy administracji prezydenta ośrodku analitycznym odbiegłem od głównego wątku i zadałem trudne pytanie o niedostatki krajowej gospodarki, zostałem surowo upomniany, że „tego tematu nie było w uzgodnionej wcześniej agendzie, więc nie będziemy o tym dyskutować”.

Przy okazji dało się zauważyć i docenić pewną prawidłowość, która z jeszcze większą mocą rzuciła się w oczy przy następnej odwilży politycznej na Białorusi, w latach 2016–2020. Otóż otwarcie się reżimu na kontakty z nami, czyli z państwami członkowskimi UE i NATO, szło w parze z ograniczoną, lecz widoczną liberalizacją wewnętrzną. Oznaczała ona m.in. budowanie lepszych, zdecydowanie intensywniejszych relacji pomiędzy tamtejszymi niezależnymi dziennikarzami i specjalistami a administracją państwową, która celowo lub nie wpuszczała do obiegu liczne ciekawe informacje i niedostępne na co dzień dane (np. makroekonomiczne). Dzięki temu nasi białoruscy koledzy, a za ich pośrednictwem również my – ich zachodni rozmówcy – mogliśmy lepiej zrozumieć priorytety polityki wewnętrznej i zagranicznej Mińska, identyfikując przy tym związane z nimi szanse i zagrożenia.

Merytorycznie analizowanie Białorusi nie stanowiło wówczas wyzwania. Podjęta przez Łukaszenkę w 2008 r. gra z Zachodem wzmacniała istniejący już wcześniej paradygmat o „równoważeniu” wpływów Moskwy rozwijaniem współpracy z Brukselą, Waszyngtonem i wybranymi stolicami państw UE, takimi jak Warszawa, Wilno, Ryga, Sztokholm czy Berlin. W tym kontekście

„lawirujący” Łukaszenka był przewidywalny, ponieważ walczył o przetrwanie na stanowisku prezydenta i tym samym stawał się kimś w rodzaju „gwaranta” niepodległości – a przynajmniej chciał być tak postrzegany.

W pierwszych latach pracy analitycznej kluczową rolę odegrało doskonale warsztatu. Musiałem nauczyć się m.in. wstrzemięźliwości w doszukiwaniu się wszędzie spisków i zakulisowych działań. Stopniowo dojrzewało we mnie zrozumienie, iż logika Łukaszenki opiera się na myśleniu „tu i teraz” oraz że wbrew pozorom nie jest on w żadnym razie mistrzem długoterminowych strategii. To człowiek ulegający emocjom, z natury bardzo skupiony na sobie, kapryśny, przyzwyczajony do bezkarności i bezgranicznych kompetencji.

Cenną lekcję z dziedziny tak rozumianego rozsądku analitycznego przyniosła mi jedna z rozmów ze znacznie starszym białoruskim kolegą, który w reakcji na moje próby znalezienia politycznego wytłumaczenia udziału najmłodszego syna Łukaszenki – Koli (wtedy zaledwie kilkuletniego) – w jego podróżach zagranicznych, rzekł ze stoickim spokojem: „Analitycy siedzą w swoich biurach po różnych krajach i łamią sobie głowy, co ten dyktator w Mińsku chciał nam pokazać. A tymczasem może być też tak, że on po prostu jest przywiązany do tego dzieciaka i ciągnie go ze sobą dla własnego komfortu psychicznego”. Z perspektywy wielu lat pracy przyznaję rację memu bardziej doświadczonemu rozmówcy.

Czas i praktyka pozwalają lepiej wnikać w białoruską odmienność – nie tylko w odniesieniu do Łukaszenki i jego otoczenia, lecz także szerzej: biznesu, trzeciego sektora i zwykłych obywateli. O tym, że nie wszystko zawsze musi być „po naszymu” logiczne, przekonałem się wiele razy. Za przykład niech posłuży rozmowa zasłyszana w 2009 r. w restauracji w Witebsku. Zachodni inwestor zapytał przez tłumaczkę swojego białoruskiego kontrahenta o zasady działania linii produkcyjnej w jego zakładzie, a ten, lekko poirytowany, odpowiedział: „Włączamy i jakoś się kręci!”. Ta scena często przychodzi mi do głowy, gdy padają pytania o reguły funkcjonowania tamtejszego modelu ekonomicznego w kontekście odwiecznej zagadki: jakim cudem tak nierentowna gospodarka jeszcze nie upadła.

Oczywiście analityk – w odróżnieniu od rubasnych przedsiębiorców ze wschodniej Białorusi – musi szukać innych odpowiedzi. Doświadczenie mówi mi, że środowisko eksperckie, w tym ekonomiczne, nie doceniało skali rosyjskich subsydiów (zarówno w postaci tanich surowców energetycznych, jak i kredytów) oraz efektywności białoruskiego biznesu, który mimo trudnych warunków inwestował i wypracowywał bardzo ważne 25% PKB. Zbyt łatwo bowiem przykładaliśmy w Polsce absurdy epoki późnego Gierka, gdy wszystko zaczynało się ewidentnie sypać, a na półkach brakowało podstawowych towarów, do opartej na innych absurdach gospodarki nakazowo-rozdziałczej wschodniego sąsiada.

Trudny rok 2010: pierwszy poważny błąd

Postęp w poznawaniu białoruskiego reżimu nie oznacza patentu na zupełną znajomość tajników tamtejszej duszy. Surową lekcją pokazującą, że muszę nauczyć się głębiej wnikać w meandry miejscowej specyfiki, przyniósł rok 2010. Znajdowaliśmy się wówczas – w aspekcie bilateralnym, polsko-białoruskim, oraz szerzej, unijnym – w procesie dialogu z Mińskiem. Demonstrował on dość logiczną narrację stolicy szukającej nowych możliwości i szeroko rozumianej dywersyfikacji (m.in. w zakresie dostaw ropy naftowej), aby choć trochę osłabić wpływy Rosji.

Okazało się jednak, że zarówno ja, jak i wielu innych zachodnich ekspertów zanadto przywiązaliśmy się do naszej projekcji „racjonalnego Łukaszenki”. Zbyt pochopnie uznaliśmy go za polityka nie tylko rozumiejącego europejskie zasady gry, lecz także gotowego je stosować.

Pierwszy szok przyniosło uderzenie w lutym 2010 r. w niezależny Związek Polaków na Białorusi (ZPB). Władze za pomocą rozumianej jak najbardziej dosłownie siły przejęły Dom Polski w Iwieńcu i przekazały go „polskiej” organizacji o tej samej nazwie, w pełni kontrolowanej przez KGB. Dla polskich elit politycznych oraz doradzających im ekspertów był to wstrząs. Zaostrzenie kursu wobec organizacji mniejszości polskiej stało w drastycznej sprzeczności z pragmatyzmem gospodarczym Mińska, oczekującego od Warszawy wsparcia inwestycyjnego, technologicznego czy w obszarze pozyskiwania kredytów od międzynarodowych instytucji finansowych.

Dopiero po czasie przypomniałem sobie, że jeszcze jesienią 2009 r. w Grodnie ówczesny prezes Rady Naczelnej ZPB Andrzej Poczobut – obecnie odbywający karę ośmiu lat kolonii karnej za rzekomą „rehabilitację faszyzmu” – przestrzegał mnie, żebym nie dał się zwieść „deklaracjom tych starych wyjadaczy z Mińska, dla których chęć robienia z Polską interesów nie idzie w parze z łagodzeniem polityki względem polskiej mniejszości”. Niestety niezbyt go słuchałem, bo jego sceptycyzm – dzięki któremu miał rację częściej niż ja – nie pasował mi do tezy o pragmatycznym reżimie, który przecież chce się z nami dogadać, bo się „boi Moskwy”.

Największa katastrofa nastąpiła zaś 19 grudnia 2010 r., gdy Łukaszenka wydał polecenie brutalnego stłumienia idącej przez centrum stolicy demonstracji przeciwko sfałszowaniu wyników wyborów prezydenckich. Dzień ten przyniósł załamanie zarówno mojego komfortu analitycznego, jak i ponad dwuletniej częściowej i w dużym stopniu udawanej liberalizacji polityki wewnętrznej miejscowych władz. W konsekwencji załamał się również dialog z Zachodem. Dla mnie osobiście była to nie tylko przykra niespodzianka, lecz także poważna pomyłka zawodowa. Porwany atmosferą dość liberalnej jak na warunki systemu autorytarnego kampanii pozwoliłem sobie w analizie podsumowującej cały

proces wyborczy, opublikowanej cztery dni przed ową tragiczną w skutkach pacyfikacją, na naiwną konkluzję: „Interwencja sił porządkowych wydaje się mało prawdopodobna, a władze ograniczą się do zastosowania szeregu utrudnień w organizacji akcji ulicznych (np. blokowania ulic i placów)”.

Podobnie jak miało to miejsce przy okazji wcześniejszego przesilenia wokół ZPB, tym razem także odnajdywałem post factum sygnały sprzed tygodni czy miesięcy wskazujące na to, że reżim szykuje się do zastosowania scenariusza siłowego. Wśród nich znajdowała się wypowiedź szefa administracji prezydenckiej Uładzimira Makieja o rzekomych „przygotowaniach opozycji do prowokacji w dniu głosowania”. Mogłem się tylko pocieszać zbiorowym charakterem tej pomyłki – takiego rozwoju wydarzeń nie przewidział nikt z kolegów ekspertów.

Aby poradzić sobie z bolesną traumą badacza i przekuć to trudne doświadczenie w coś konstruktywnego, napisałem dla dwumiesięcznika „Nowa Europa Wschodnia” (nr 6, 2012) osobisty esej *Spowiedź analityka, czyli o pokorze wobec Wschodu*. Wyznałem tam wszystkie „grzechy” i niedopatrzenia oraz zacytowałem Ryszarda Kapuścińskiego, który w słynnym zbiorze reportaży *Imperium*, traktującym o rozpadającym się ZSRR, oznajmił: „Człowiek z Zachodu wrzucony w świat sowieckości co chwilę traci grunt pod nogami, dopóki ktoś nie wytłumaczy mu, iż rzeczywistość, którą widzi, nie jest jedyną i – najpewniej nie najważniejszą, i że tu istnieje wielość najprzeróżniejszych rzeczywistości, splatających się w monstrualny i niedający się rozsupłać węzeł”.

Mimo upływu lat słowa te pozostają aktualne. Łukaszenka to typowy produkt epoki Związku Radzieckiego i jako człowiek o sowieckiej mentalności zawsze gra według specyficznych reguł, odmiennych od naszych. Dla dyktatora jego pokroju sprawą podstawową było i pozostanie utrzymanie władzy. Stąd w imię konsolidacji systemu oraz zwiększenia kontroli zarówno nad polską mniejszością, jak i całym społeczeństwem zaryzykował konflikt z Zachodem i – wskutek tego posunięcia – utratę profitów. Innymi słowy reżimy niedemokratyczne źle znoszą wszelkie „eksperymenty” z choćby częściową liberalizacją i tym samym są w znikomym stopniu podatne na reformy.

Schodząc już na wyłącznie białoruskie podwórko, należy zauważyć, że moment ten przyniósł zrozumienie, iż Łukaszenka nie potrafi uczestniczyć w złożonych, wielopoziomowych grach z Zachodem. Znacznie wyżej ceni sobie bowiem proste sytuacje, „gdy wywraca stół, kiedy mu to pasuje, a nie układa skomplikowane pasjansy” – jak to opisał Stanisław Szuszkiewicz, nieżyjący już przewodniczący białoruskiego parlamentu i nieformalna głowa państwa na początku lat 90.

Na bazie tych doświadczeń stało się jasne, że klucz do sukcesu w badaniu łukaszenkowskiej Białorusi to maksymalny sceptycyzm, odrzucenie wygodnych, ale nieskutecznych zachodnich schematów i nieustanna próba wejścia w buty

dyktatora. Należało za wszelką cenę rozgryźć realną agendę głównego decydenta w Mińsku i jego doradców, a nie podkładać w to miejsce własną. Wydarzenia te nauczyły mnie też tolerancji dla pomyłek – dzięki błędnej prognozie zauważyłem na własnym przykładzie, że takie sytuacje to organiczna składowa zawodu analityka. Wraz z oswojeniem się z ryzykiem omyłności przyszła także refleksja, że tylko poprzez błędy, choćby te spektakularne, młody ekspert może się kiedyś przeobrazić w starego wygę.

Wykonanie zadania polegającego na zbadaniu nowej, powyborczej agendy Łukaszenki było dość trudne, bo – jak się okazało w trakcie wyjazdu na Białoruś w maju 2011 r. – nie jestem tam już mile widziany. Przez ponad rok, odcięty od możliwości podróżowania do kraju moich zainteresowań badawczych, starałem się rekompensować sobie ten deficyt wizytami w innych państwach, gdzie odbywały się konferencje o tematyce białoruskiej, oraz spotkaniami z przedstawicielami emigracji politycznej, czyli ludźmi zmuszonymi do opuszczenia ojczyzny w obawie przed prześladowaniami. Największą wartość niesły jednak rozmowy z przybyłymi „stamtąd” ekspertami, którzy mogli choć trochę opowiedzieć o rzeczywistości po drugiej stronie granicy. Była to zaledwie namiastka przeciwności, z jakimi przyszło mi się zderzyć po 2020 r.

Ostateczny kres iluzji o racjonalnej grze z nieracjonalnym dyktatorem

Kolejne lata to okres prób i błędów. Wielu zachodnich polityków i ekspertów – w tym również autor tego tekstu – mierzyło się z wyzwaniem polegającym na adekwatnym ocenieniu rozmaitych sygnałów dobrej woli ze strony władz białoruskich. Pierwszym – dość skromnym – było zaproszenie pracowników OSW na konferencję do Mińska w listopadzie 2012 r. Zagwarantowano nam bezpieczeństwo (krok konieczny w kontekście perypetii z poprzednim wyjazdem), aby rozmawiać o perspektywach dialogu z Polską i Europą. Rządzący odczuwali już najwyraźniej zmęczenie sankcjami nałożonymi przez Zachód w reakcji na represje uderzające w opozycję i wolne media.

Dyskusje z reżimowymi ekspertami i dyplomatami uzmysłowiły nam, iż różnie myślimy i inaczej wyobrażamy sobie debatę, ale pojawiły się szanse na kontynuowanie zbliżenia. Uzbrojeni w mądrość i doświadczenia wyniesione z rozczarowania w 2010 r. postanowiliśmy przetestować intencje władz i złożyliśmy nowy wniosek o wizę w celu – jak to ujęliśmy – przeprowadzenia serii spotkań z lokalnymi strukturami ZPB (tego niezależnego i zwalczanego). Odmówiono nam, co pokazało, że tamta strona chce rozmawiać wyłącznie na swoich warunkach i to tylko o zdjęciu restrykcji, inwestycjach i kredytach, natomiast trudnych dla niej spraw, jak sytuacja mniejszości polskiej, nie zamierza w ogóle

poruszać. Tym samym tzw. dialog znów stanął w miejscu, a analitycy do spraw białoruskich wzbogacali swój warsztat o takie niestandardowe narzędzie jak wniosek wizowy.

Poważniejsza próba otwarcia Białorusi na Zachód nastąpiła w latach 2014–2015. Mińsk, występując w roli pośrednika w rozmowach pokojowych pomiędzy Rosją a Ukrainą, przekonał zachodnich przywódców, iż może być wiarygodnym graczem podejmującym racjonalne decyzje. Na atmosferę pozytywnie wpłynęło zwolnienie wszystkich więźniów politycznych odsiadujących wyroki za udział w protestach sprzed pięciu lat. Oczywiście, że do większej otwartości skłoniły reżim agresywne posunięcia Moskwy wobec Kijowa, czyli aneksja Krymu i wspieranie donbaskich separatyzmów. W pewnym sensie miała wówczas miejsce powtórka sytuacji z 2008 r. W tym przypadku do naruszenia przez Kreml integralności terytorialnej jednego z państw byłego ZSRR doszło jednak w bezpośrednim sąsiedztwie Białorusi i Łukaszenka był wyraźnie zdeterminowany, aby na serio wzmocnić „zachodnią nogę” w polityce zagranicznej.

Lata 2016–2020 to dla specjalistów do spraw białoruskich czas niezwykle intensywnej pracy. Otwarcie dialogu skutkowało uaktywnieniem się polityków i urzędników po obu stronach granicy. Niemal co miesiąc w Mińsku pojawiała się delegacja z Warszawy, składająca się najczęściej z dyrektorów departamentów poszczególnych resortów, choć zdarzały się też wizyty ministrów lub ich zastępców. Kilkukrotnie na Białorusi gościli marszałkowie i wicemarszałkowie Sejmu i Senatu. Dużą aktywność wyjazdową przejawiali także przedstawiciele władz RB, choć nieco niższego szczebla. Najwyższym rangą gościem w Polsce był w lutym 2019 r. Michaił Miasnikowicz, przewodniczący Rady Republiki (wyższa izba parlamentu) i zaufany człowiek Łukaszenki.

Na skromnym odcinku analitycznym również zaczęto odczuwać konsekwencje odwilży. Na Białoruś udawałem się nawet pięć razy w roku, co wynikało zarówno z wielości spotkań, jak i z powstania niemal nieograniczonych możliwości badawczych, w tym na głębokiej prowincji. O ich zakresie świadczy fakt, że unijnych badaczy zapraszano do udziału w dorocznych konferencjach organizowanych przez afiliowany przy MSZ RB podmiot pozarządowy utworzony przez rząd (GONGO) – Miński Dialog, gdzie najważniejszą mównicą był... sam Łukaszenka. Podróżom sprzyjał ruch bezwizowy, wprowadzony w 2017 r., gdy – po stopniowym zniesieniu innych formalności – loty do Mińska de facto niewiele się różniły od tych do pobrexitowej Wielkiej Brytanii (tam również obowiązywała uproszczona kontrola paszportowa).

Bezprecedensowa obfitość kontaktów, rozmówców i źródeł informacji niosła niebagatelne szanse na zdobycie głębszej wiedzy o Białorusi, ale stawiała też niełatwe zadania, a wśród nich m.in.: właściwą selekcję faktów, racjonalne podejście do pogłosek i kuluarowych sugestii oraz radzenie sobie z dezinforma-

macją. Koronne wyzwanie analityczne polegało na rozszyfrowaniu gry Mińska. Czy widoczna wówczas polityka tzw. miękkiej białorutenizacji, czyli wspierania ojczystej kultury, języka i pamięci historycznej, oraz coraz bardziej krytyczna narracja wobec Moskwy były oznakami realnego zwrotu w kursie państwa czy następną zagrywką, aby skłonić nas do większego wsparcia RB w obliczu „rosyjskiego imperializmu”?

Doświadczony – pod względem zarówno stażu, jak i popełnionych błędów – ekspert dostrzegał wyjątkowo nikłą skłonność reżimu do ustępstw. Na mniej lub bardziej zamkniętych spotkaniach przedstawiciele tzw. oficjalnego Mińska (tak w rosyjskim określa się władze kraju) nie grali czysto, przekręcali nasze deklaracje na swoją korzyść i próbowali uzyskać jak najwięcej za zupełnie minimalne ustępstwa lub wręcz ich pozory. Sytuacja mniejszości polskiej nie poprawiała się znacząco, niezależny ZPB nadal nie mógł liczyć na rejestrację, wybory parlamentarne w 2019 r. w pełni kontrolowali rządzący, a mandaty otrzymali wyłącznie reprezentanci lojalnych organizacji społecznych i partii politycznych.

Dało się natomiast zauważyć, że jako szeroko pojęty Zachód walczyliśmy o coś więcej – o większą samodzielność Mińska na arenie międzynarodowej. Utwierdzały nas w tym późniejsze próby poszukiwania przez reżim możliwości dywersyfikacji w energetyce i polityce zagranicznej. Szczyt jego śmiałości w sięganiu po niestandardowe rozwiązania wyznacza wizyta w Mińsku w lutym 2020 r. amerykańskiego sekretarza stanu Mike’a Pompeo, podczas której strony porozumiały się co do próbnych dostaw ropy naftowej z USA do portu w Kłajpedzie.

Ta specyficzna, bo obarczona rozczarowaniami, niedosytem i brakiem zaufania gra Zachodu z władzami w Mińsku w suwerenność trwałaby być może jeszcze kilka lat, gdyby nie rosnące niezadowolenie społeczne i atak koronawirusa, które zbiegły się w czasie wiosną 2020 r. Coraz wyższe koszty życia, zmęczenie Łukaszenką oraz beczynność rządzących w trakcie pandemii spowodowały coś, o czym przez lata mówiło się w gronie specjalistów od Białorusi tylko w kategorii abstrakcyjnej spekulacji: „spokojni”, „pokorni” obywatele zmobilizowali się w trakcie kampanii przed wyborami prezydenckimi zaplanowanymi na 9 sierpnia 2020 r.

Byłem tą aktywnością zaskoczony – podobnie jak reżim, który odpowiadał punktowymi uderzeniami w kluczowych kontrkandydatów Łukaszenki. W tym przypadku, po cennej nauce z 2010 r., nie trzymałem się już uporczywie tezy o „racjonalnym Mińsku” i potrafiłem lepiej zidentyfikować realne priorytety władz. W opublikowanej 29 lipca 2020 r. na stronie internetowej OSW analizie przedwyborczej prognozowałem: „Jak się wydaje, nic nie zagraża przeforsowaniu przy pomocy aparatu państwowego kolejnego zdecydowanego zwycięstwa

urzędującego prezydenta, jednak nierozwiązane problemy bytowe obywateli wraz z narastającym w społeczeństwie poczuciem zmęczenia wieloletnimi rządami Łukaszenki i oburzeniem represjami mogą doprowadzić do masowych demonstracji po ogłoszeniu sfałszowanych wyników wyborów. (...) Należy przy tym podkreślić, że wciąż brakuje jednoznacznych oznak rewolucyjnych nastrojów w społeczeństwie. (...) Ryzyko obalenia reżimu wciąż jest zatem dość niskie, tym bardziej że nie ma symptomów jakiegokolwiek rozłamu w elicie, co stanowi jeden z głównych czynników przesądzających o skuteczności rewolucji. Niezależnie jednak od skali i skuteczności protestów, jeśli jedyną na nie reakcją władz będzie brutalna pacyfikacja i następująca po niej fala represji, może dojść do ograniczenia lub wręcz zerwania dialogu z Zachodem. W ten sposób wzmocnieniu ulegnie pozycja Rosji, dążącej do pogłębienia integracji z Białorusią w ramach Państwa Związkowego”.

Skala protestów po ogłoszeniu rezultatów sfałszowanego głosowania przerosła oczekiwania wszystkich, podobnie jak brutalność sił porządkowych. Nie pomyliłem się – trafnie oceniłem powagę sytuacji, ryzyko wystąpienia kryzysu i jego konsekwencje. Wspominając tamte trudne dni, przyznaję, że chyba największym wyzwaniem była konieczność zachowania konsekwencji w myśleniu i działaniu. Udzieliłem wówczas wielu wywiadów, a codziennie byłem bombardowany setkami doniesień polskich i zagranicznych mediów – pełnych podziwu, moralnego wsparcia dla demonstrantów i towarzyszących temu spekulacji o „rychłym, nieuniknionym upadku krwawego reżimu”.

Trwałem jednak w sceptycyzmie co do ewentualności takiego rozwoju wypadków, ponieważ nie widziałem ani większych pęknięć w nomenklaturze, ani konsolidacji przywództwa w obozie opozycji. Istotną funkcję pełniło również wyraźne wsparcie dla Łukaszenki ze strony Kremla. Była to dla analityka cenna lekcja odporności na popularne w danej chwili tezy, niemające większego oparcia w rzeczywistości, ale podkreślane przez gorączkę medialną. Trochę później, gdy kurz bitewny opadł i przyszedł czas na spokojne przemyślenie wszystkiego, pojawiła się refleksja o wartości dobrze rozumianego uporów, opartego na mocnej argumentacji, która w pracy eksperta zawsze powinna stanowić niepodważalny azymut.

Deficyt narzędzi analitycznych i ryzyko bańki informacyjnej

Zerwanie dialogu z Zachodem, w tym z Polską, zaowocowało odcięciem całego grona zachodnich ekspertów od możliwości podróżowania na Białoruś. Już w pierwszych tygodniach po wyborach znajomi z Mińska ostrzegali mnie, że lepiej „chwilowo” zrezygnować z pokusy bezpośredniej obserwacji rozwijającego się kryzysu politycznego. Z czasem oni sami – w trosce o bezpieczeństwo

własne i bliskich – zaczęli masowo opuszczać kraj. Jak się potem okazało, ich ewakuacja i mój zakaz wjazdu nie były wydarzeniami „chwilowymi”, lecz niosły wieloletnią izolację od ojczyzny lub przedmiotu studiów.

Oznaczało to wielkie wyzwanie zawodowe – należało na nowo zorganizować sobie warsztat pracy oraz porzucić kilka istotnych jeszcze na początku 2020 r. paradygmatów, jak te o Łukaszence jako „gwarancie suwerenności” czy o dążeniu Mińska do odgrywania „pokojoyej roli w regionie”. Z następnym rokiem wiedza „stamtąd” coraz bardziej się dezaktualizowała, ubywało białoruskich niezależnych badaczy, dziennikarzy i działaczy trzeciego sektora, którzy masowo wyjeżdżali do innych krajów.

W rezultacie analitycy OSW, koledzy eksperci z różnych państw unijnych oraz białoruscy emigranci – wszyscy stopniowo zamykaliśmy się we wspólnej bańce informacyjnej, obciążeni ryzykiem projekcji wyobrażeń w miejsce realiów. Aby nie polegać wyłącznie na źródłach wtórnych (głównie z internetu), wykorzystywaliśmy każdą okazję do rozmawiania z przybyszami z Białorusi, jak również pytaliśmy licznych znajomych w kręgach diaspory, jak według nich wygląda sytuacja po drugiej stronie granicy.

Z uporem maniaka podkreślałem, iż tak jak dla uchodźców politycznych priorytet powinno stanowić utrzymanie kontaktów z rodakami w kraju i sposobności oddziaływania na nich, tak dla analityków liczy się przede wszystkim posiadanie jak najrzetelniejszej wiedzy o sytuacji wewnętrznej na Białorusi. W praktyce oznaczało to nabycie zdolności funkcjonowania w dwóch białoruskich rzeczywistościach – emigracyjnej, której dało się doświadczać i badać ją bezpośrednio, oraz „krajowej”, znacznie mniej dostępnej.

Zarazem wzrosło zagrożenie dezinformacją, która co prawda od zawsze stanowiła organiczny element narracji reżimu RB (i innych ośrodków władzy na obszarze poradzieckim), lecz w warunkach kryzysu politycznego i zamrożenia kontaktów z Zachodem osiągnęła ona poziom bezprecedensowy, zbliżony do standardów epoki ZSRR. W tych okolicznościach należało zachować maksymalną ostrożność względem jakichkolwiek oficjalnych i niepublicznych sygnałów dobrej woli Mińska, a na każde wydarzenie patrzeć w kontekście co najmniej kilku podstawowych czynników wyznaczających prawdopodobny kurs rządzących. Bo jakże przyjmować jako szczere deklaracje przyjaźni Łukaszenki lub jego podwładnych, gdy w tym samym czasie setki migrantów codziennie szturmują wschodnią granicę RP, a Poczobut wciąż przebywa w więzieniu o zaostrożonym rygorze?

Warto pamiętać, że dezinformacja, jako jedno z narzędzi wojny hybrydowej prowadzonej wspólnie przeciwko nam – Zachodowi – przez Rosję i Białoruś, uległa zintensyfikowaniu. Tym samym każdy zajmujący się studiami nad jakoby „pokojoyą” RB znalazł się w pewnym sensie na froncie, gdzie zjawisko to

często przybierało formę decepcji, a więc próby świadomego wprowadzania w błąd wąskiej grupy odbiorców – wyspecjalizowanych instytucji wykonujących zadania polityczne. Innymi słowy chodziło o dezinformowanie władz państw zachodnich, w tym ich zaplecza analitycznego. Dążenia te wymagały od ekspertów zachowania szczególnej czujności, bo o ile łatwo było (i nadal jest) odrzucić mało realną propozycję poprawy relacji z reżimem w Mińsku, o tyle weryfikacja zagrożeń sztucznie przezeń generowanych nastroczała już sporo trudności.

Odporność psychiczną i zawodową badaczy wystawiła na próbę chociażby „afera” wokół obecności na Białorusi Grupy Wagnera. Członkowie tej formacji zaczęli pojawiać się tam w lipcu 2023 r., kilka tygodni po nieudanym puczu pod wodzą ich lidera Jewgienija Prigożyna. Mimo że wszystko wskazywało na to, iż do udzielenia im gościny zmusiła Łukaszenkę presja ze strony Władimira Putina, to Mińsk stosunkowo szybko zaczął wysyłać komunikaty sugerujące, że najemnicy mogą zostać użyti do zdestabilizowania granicy z UE, co niosło potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa RP. Mając z tyłu głowy zasadę absolutnej nieufności do narracji władz, należało spróbować ocenić ewentualną decyzję o włączeniu wagnerowców w kryzys migracyjny z punktu widzenia dyktatora i jego bezpośredniego otoczenia. Symulacje intelektualne – bardzo pożyteczne poznawczo i rozwojowo – skutkowały wnioskiem o zupełnej nieopłacalności takiego posunięcia. Tak silnie spersonalizowany reżim, oparty na absolutnej lojalności elit względem lidera i czerpiący dochody z nielegalnych źródeł, nie potrzebuje wspólników, z którymi trzeba się dzielić i których trzeba jeszcze kontrolować, aby nie przekraczali wyznaczonych im granic.

W tym przypadku przydał się test odporności na presję medialną z 2020 r. – trzy lata później, wbrew permanentnym medialnym (i nie tylko) wieściom o „wagnerowcach u bram”, również pozostawałem sceptyczny. Od gorącego lata 2023 r. minęło już sporo czasu i jak dotąd nie trafiają do nas jakiegokolwiek informacje potwierdzające alarmistyczne doniesienia z tamtego okresu. Wywniosłem z niego ważny wniosek analityczny o wartości rekonstrukcji logiki rządzących poprzez projekcję ich realnych interesów. Z przekonaniem przyznaję, że to narzędzie może się jeszcze niejednokrotnie przydać w trudnej wędrówce przez meandry białoruskiej rzeczywistości.

Tym samym w ciągu ostatnich kilku lat warsztat specjalisty do spraw białoruskich przeszedł gruntowną przemianę, o ile nie rewolucję. Najtrudniejszy okazał się pierwszy rok kryzysu politycznego w i wokół RB, gdy trzeba było adaptować się do nowej sytuacji – szukać zamienników tego, co nagle przestało być dostępne, czyli m.in. jakże istotnych wyjazdów służbowych. Należało przedstawić też psychikę na większą selektywność i czujność, szczególnie w obliczu ciągłego wzrostu agresywności narracji propagandowej. Dużym wyzwaniem stało się nawet pozyskiwanie kompleksowych danych makroekonomicznych,

które państwowa statystyka coraz bardziej ukrywała w obawie przed ujawnieniem stosowanych przez Mińsk sposobów omijania zachodniego embarga towarowego, wprowadzonego w reakcji na represje i wrogie działania wobec Zachodu po 2020 r.

Niektóre z tych problemów udało się rozwiązać dzięki kreatywnemu podejściu – przykładowo niepublikowane przez władze szczegółowe informacje o handlu zagranicznym można pozyskać z baz zewnętrznych, do których partnerzy handlowi RB przekazują swoje dane o wymianie towarowej. W rezultacie na podstawie stron Eurostatu i Comtrade’u da się zidentyfikować kierunki białoruskiego eksportu i importu. Dokładność tych treści jest niestety ograniczona, w związku z czym nadal nie wiemy na pewno, gdzie podziewają się choćby tamtejsze produkty naftowe, przed którymi zamknęły się intratne przed laty rynki państw unijnych i Wielkiej Brytanii czy ukraiński.

Nie w każdym jednak przypadku ekspert może sięgnąć po podobne rozwiązania. Najgorsza sytuacja panuje w sferze badań społecznych. Represje i zablokowanie możliwości podróżowania na Białoruś sprawiły, że wszyscy bez wyjątku zachodni analitycy nie mają dziś pełnego obrazu nastrojów i preferencji jej obywateli. Przeprowadzane zdalnie z UE badania białoruskich niezależnych socjologów zasługują na uznanie i przynoszą wiedzę, ale nie możemy ich uznać za opracowania całkowicie miarodajne. Bo jak w zaistniałych uwarunkowaniach zakładać, że statystyczny Siarhiej czy Dima szczerze odpowie na pytanie o poparcie dla Łukaszenki, a ankieta internetowa lub telefoniczna obejmie mieszkańców wsi i małych miasteczek? Stąd też pewne rzeczy wiemy, a pewnych możemy się jedynie domyślać – co należy uczciwie przyznawać.

Dane, które udaje się przeanalizować, wskazują już natomiast, jakie skutki wywołały emigracja kilkuset tysięcy najaktywniejszych i krytycznych względem reżimu obywateli oraz intensywne oddziaływanie rosyjskiej i lokalnej propagandy: znaczny odsetek pozostających w kraju respondentów cechuje mniej lub bardziej lojalna postawa wobec władz. Należy zatem uprzedzić, bazując na własnym doświadczeniu i fragmentarycznej wiedzy, że nie powinniśmy przekładać naszych oczekiwań na tamtejszą sytuację. Po latach może się bowiem okazać, że pierwsze badanie opinii w wolnej Białorusi odsłoni przed nami obraz dość konserwatywnego społeczeństwa, po części nieufającego Zachodowi i nie aż tak niechętnego Rosji, jak byśmy się spodziewali.

Próba podsumowania: czy despoci kierują się logiką?

Porażka prognostyczna z 2010 r. nie dowodziła braku logiki wówczas autorytarnego, a aktualnie na poły totalitarnego reżimu. Łukaszenka i jego otoczenie kierowali się własną racjonalnością opartą na interesach i wartościach dla nich

użytecznych. Główny cel każdego despoty to przetrwanie – oraz utrzymanie kontroli nad elitami i społeczeństwem, warunkujące realizację tego pierwszego, nadrzędnego zadania.

Wykorzystujący ten punkt widzenia ekspert omawianego specyficznego obszaru międzynarodowego jest w stanie w większości przypadków przewidzieć posunięcia dyktatora i mechanikę stworzonego przez niego systemu. Doświadczenie i krytyczne podejście powinny sprawić, że naszej analizie nie zaburzy typowe dla modeli niedemokratycznych świadome manipulowanie fundamentalnymi dla świata demokratycznego pojęciami, takimi jak wolności obywatelskie i prawa człowieka. Możemy też przeciwdziałać dezinformacji i decepcji, choćby poprzez konfrontowanie informacji z różnych źródeł oraz ocenę intencji towarzyszących upublicznianiu przez te czy inne osoby poszczególnych faktów istotnych dla obszaru badawczego. Ukształtowany w kręgu zachodnich wartości analityk nie staje więc do konfrontacji z jakże odmienną, ale nie tak zupełnie nieznaną rzeczywistością RB całkowicie bezbronny.

Nie oznacza to, że po dwóch dekadach pracy ktokolwiek z nas wchodzi w posiadanie szklanej kuli. W dającej się przewidzieć przyszłości Białoruś pozostanie trudnym zagadnieniem badawczym. Kolejne pokolenia ludzi gotowych zmierzyć się z tą materią z pewnością będą miały trudniej, gdyż nie poznają tego państwa sprzed 2020 r., gdy dało się do niego wjechać i spotkać z przedstawicielami reżimu.

Perspektywy przywrócenia dawnych narzędzi warsztatu analitycznego pojawią się dopiero wraz z poprawą sytuacji w RB, przez co należy rozumieć przynajmniej częściową normalizację wewnętrzną (zwolnienie więźniów politycznych, dialog z opozycją z elementami demokratyzacji) oraz idące za nią rozmowy z Zachodem. Taki scenariusz może się jednak urzeczywistnić dopiero po śmierci Łukaszenki. Wówczas pojawią się nowe ciekawe tematy, które – w ramach pewnych symulacji – już podejmuje dyskurs ekspercki. W przypadku zniknięcia „wodza” i twórcy systemu kluczowe znaczenie będzie miało określenie realnych mechanizmów sukcesji oraz związanej z tym stabilności miejscowego modelu politycznego. Ważna będzie także odpowiedź na pytanie o reakcję Rosji i jej rolę w „porządkowaniu” sytuacji po dyktatorze.

Nie wolno również zapominać o mniej wpływowych aktualnie aktorach, czyli o białoruskim społeczeństwie i opozycji, opartej w dużej mierze na organizacjach pozarządowych. Tym samym dalsze losy Białorusi wciąż obfitują w nie wiadome, co oznacza, że „stabilność” reżimu jest pozorna. Tymczasem, zanim nastąpi jakikolwiek moment przełomowy, pewnym pocieszeniem dla strapiionych realiami RB i trudnościami w ich analizowaniu może być schematyczność działań Łukaszenki, ułatwiająca zarówno pracę bieżącą, jak i prognozowanie przyszłości.